

## Jak zostałem squattersem, czyli krótki poradnik londyńskiego survivalu

Pomysł jak zwykle zrodził się podczas jednego z wieczornych spotkań. Siedzieliśmy z Philem przy kolacji, popijaliśmy angielską herbatę i kontemplowaliśmy opłakany stan naszych finansów. W pewnym momencie Phil teoretycznie, niemalże fantazjując, zarzucił pomysł: czy dałoby się przeżyć miesiąc w Londynie bez wydawania ani grosza? Ja w świetle mojej wyżej wspomnianej sytuacji majątkowej podjąłem temat. Pomysł wydawał się dość karkołomny ja jednak byłem już właściwie w połowie drogi do jego zrealizowania. Czemu?

Cóż, cała historia rozpoczęła się z początkiem maja, kiedy to skończyłem rok mojej edukacji w Drama Centre London. Ponieważ moja świnka skarbonka od dłuższego czasu nie miała nic w ustach postanowiłem, iż najbliższe kilka miesięcy należałoby przeznaczyć na działalność zarobkową. W ciągu nadchodzących wakacji musiałem zdobyć kwotę wystarczająco dużą, aby spłacić wszystkie długi i do tego odłożyć jeszcze na kolejny rok moich zamorskich przygód.

Na szczęście, w wyniku moich usilnych, trwających kilka ładnych miesięcy starań, miałem w tym czasie już zabezpieczone dwie posady, plus jedną bonusową w firmie remontowej należącej do mojego znajomego. Tam też rozpoczynałem swój dzień. Następnie, w samo południe odkładałem pędzel na półkę, aby udać się do szkoły teatralnej dla dzieci gdzie prowadziłem z maluchami zajęcia aktorskie. Wieczorem zaś jechałem do centralnego Londynu, gdzie w jednej ze szkół tańca towarzyskiego udzielałem swoich usług jako fordanser.

Wszystko wydawało się podążać we właściwym kierunku. Nic bardziej mylnego. Minął miesiąc a znaczek widniejący przy stanie mojego konta zmienił się co prawda z minusa na plus ale liczby, które następowały po nim miały zatrważająco niskie wartości.

Czynsz. Londyński zabójca walczący o prymat w statystykach śmiertelności ze świńską gripą. Większość moich finansów szła na opłacanie tego cholerstwa. Całkiem pokaźna sumka, którą udało mi się w ciągu tego miesiąca zarobić, drastycznie zmalała, kiedy uiściłem opłatę za mieszkanie. A moja świnka domagała się dużo większych środków niż te, które pozostały. Sytuacja wymagała drastycznych zmian. Należało usunąć czynsz z listy comiesięcznych wydatków. Tylko jak to zrobić?

W sukurs przyszedł mi Tristan, który od początku roku akademickiego uprawiał tak zwany squatting. Już śpieszę z wyjaśnieniem. Squatting to nic innego jak mieszkanie w opuszczonych lub aktualnie nieużywanych budynkach. Jak dowiedziałem się od Tristana działalność ta nie jest karana, jest kwestią rozstrzyganą przez prawo cywilne. Jeśli prawowity właściciel zapragnie odzyskać swój budynek musi udać się do sądu i złożyć podanie o nakaz eksmisji. Kiedy nakaz taki zostanie wydany squattersi zmuszeni są opuścić posiadłość.

Zaintrygowany perspektywą „darmowego czynszu” postanowiłem zbadać to zjawisko bliżej. Na początek zdecydowałem zwrócić się o pomoc do Advisory Service for Squatters – organizacji wspomagającej ruch squattersów. „Biuro” mieściło się we wschodnim Londynie na ostatnim piętrze małego budyneczku, do którego wchodziło się od strony małej, zagraconej alejki. W środku odnalazłem trzech wolontariuszy. Nie były to zbyt przyjazne elementy, nie byli gotowi służyć mi też szczególną pomocą. Jakiś czas później dowiedziałem się dlaczego.

Środowisko squattersów należy do bardzo specyficznych. Większość z nich uprawia ten proceder ze względów ideologicznych. Są to z reguły antykapaliści walczący z systemem różnymi dostępnymi środkami. Mimo drzemającej we mnie odrazy do nadmiernego konsumpcjonizmu nigdy nie uważałem się za antykapitalistycznego aktywistę. Byłem po prostu biednym studentem, który chciał zaoszczędzić trochę kasy na czynszu. Nie ma co więc się dziwić, że większość squattersów nie była zainteresowana pomaganiem osobnikowi, który być może w przyszłości będzie nakręcał system reklamowaniem nikomu niepotrzebnego proszku do prania.

Były też inne powody. Głównym zadaniem ASS było pomaganie squattersom w kwestiach prawnych, udzielanie wskazówek osobom zainteresowanym rozpoczęciem uprawiania tego procederu nie leżało w zakresie obowiązków organizacji. Ponadto, trzeba też zaznaczyć, iż Londyn pełen jest elementów, którzy usłyszawszy o możliwości mieszkania za darmo chcieliby z niej skorzystać, najchętniej przychodząc po prostu na gotowe, czyli wprowadzając się do istniejącego już squata. A zorganizowanie takowego do najprostszych rzeczy nie należy. Na początek trzeba znaleźć odpowiedni dom i upewnić się, iż jest opuszczony. Następnie należy włamać się do środka (jedyne nielegalne aspekty omawianej działalności, trzeba mieć zawsze pewność, że w okolicy nie ma świadków), zmienić zamki i zabezpieczyć posiadłość. Potem przychodzi czas na wszelkie kwestie remontowe. Trzeba dom wyposażać, najczęściej meblami i sprzętami znalezionymi w kontenerach na śmieci. Często dochodzi kwestia hydrauliki, nierzadko też trzeba przyłączyć elektryczność. Nic więc dziwnego, iż Ci, którzy wkładają tyle pracy w urządzenie sobie miejsca zamieszkania nie chcą potem się nim dzielić z pierwszym lepszym nieznajomym, który niewiele o squatowaniu słyszał ale perspektywa mieszkania for free jest dla niego więcej niż kusząca.

Jedyną więc radą jaką dostałem w ASS było: „wybierz się na poszukiwania, zmontuj ekipę i wbijajcie się”. Gdy zapytałem jak poznać czy dom jest opuszczony usłyszałem tylko enigmatyczne: „Jeśli jest opuszczony to będzie to oczywiste”.

W ostatniej próbie uzyskania jakiegokolwiek pomocy skontaktowałem się jeszcze z kumplem Tristana, który na squatowaniu zjadł zęby, ale tu sytuacja była podobna, on również nie był chętny aby wprowadzić mnie w tajniki procederu. Musiałem jakoś udowodnić, iż jestem godzien miana kandydata na squattersa.

Niestety same poszukiwania okazały się wcale nie być taką prostą sprawą. Wiele jest w Londynie opuszczonych domów, ale mimo wszystko są one ułamkiem procenta wszystkich budynków tego miasta. Dlatego, jeśli nie wie się dokładnie gdzie należy szukać, cały proces może okazać się czasochłonny i dość frustrujący. Postanowiłem spróbować innego podejścia.

Zamieściłem na forum internetowym zapytanie, w której części Londynu może znajdować się największa ilość potencjalnych squatów. W odpowiedzi, tu niespodzianka, dostałem od pewnego życzliwego nieznajomego konkretny adres: 166 Finborough Road. Wyposażony w mapę, w duchu poszukiwacza skarbów, różnym krokiem wyruszyłem na wyprawę do nieznanej mi jeszcze zbyt dobrze dzielnicy Fulham. Miejsce odnalazłem bez problemu, dom rzeczywiście wyglądał jak ostatnia ruina. Niestety w jednym z okien na piętrze paliło się światło. Czyżby jacyś amatorzy darmowego mieszkania zajęli miejsce przede mną? Należało to sprawdzić. Sporządziłem krótki list, którego treść brzmiała mniej więcej tak:

*Drodzy Squattersi*

*Ja sam byłem do niedawna jeszcze szczęśliwym squattersem (musiałem jakoś zwiększyć swoją wiarygodność). Niestety w świetle otrzymanego ostatnio nakazu eksmisji zmuszony jestem poszukać nowego miejsca zamieszkania. Jeśli macie w środku wolny pokój i jesteście skłonni przyjąć do siebie kolejnego lokatora, dajcie znać i jakoś to zorganizujemy. Jeśli jednak cały dom jest już zajęty skontaktujcie się ze mną tak czy inaczej, w przypadku, gdy się nie odezwiecie uznam, że dom jest pusty i włamię się do środka. Mój numer tel. to: ... a mój mail: ... .*

*Tomek*

List wrzuciłem do skrzynki w drzwiach i pełen dobrych myśli ruszyłem w swoją stronę.

Po trzech dniach zadzwonił telefon. Numer zastrzeżony. Nieznajomy głos zapytał:

- Czy rozmawiam z panem Tomaszem?
- Taaaak – odpowiedziałem nie bez wahania.
- Tu Policja.

Byłem pewien, że to jakieś żarty. Ktoś z moich znajomych po prostu robi sobie ze mnie jaja. Przecież chcą być aktorami, mają to we krwi. Tajemniczy głos kontynuował:

- Czy to Pan umieścił list w skrzynce pocztowej domu na Finborough Road?

Do głowy wpadła mi oczywista myśl. No tak, squattersi z Finborough Road znaleźli moją notkę, ale nie chcą u siebie żadnych nieproszonych gości, więc postanowili mnie odstraszyć na stary numer z policją. Myślą, że zmięknie mi rura. Ha, nie ze mną takie numery, pogram z nimi vabank.

- Tak, to ja.

- Czy pański adres mailowy to...

- Proszę Pana, jeśli macie moje imię, mój numer telefonu to chyba oczywiste jest, że mail też się zgadza.

- Tak, chcemy tylko ustalić, czy to na pewno Pan...

- To na pewno ja, czy jest jakiś problem?

- Czy chce Pan się włamać do domu na Finborough Road?

Postanowiłem odkryć karty.

- Słuchajcie chłopaki – powiedziałem – jeśli nie chcecie żebym się wprowadzał to prostu mi to powiedzcie, nie musimy bawić się w jakieś głupie gierki.

- Nie wiem co Pan ma na myśli. Dla Pańskiej informacji, pańską notatkę znalazła lokatorka tego domu, sześćdziesięcioletnia kobieta. Przeczytała o pańskim zamiarze włamania się i przerażona przyszła na policję. Uprzejmie prosimy żeby Pan jednak zaniechał swoich zamiarów względem tego domu.

Szczerze przyznam, że takiego obrotu spraw się nie spodziewałem. Podziękowałem grzecznie za informację i złożyłem przyrzeczenie, iż nie będę się włamywał do posiadłości na Finborough Road.

To był początek mojej przygody ze squatowaniem. Dalej, na szczęście, było już jednak prościej.

Dowiedziawszy się o całym zajściu mój tajemniczy kontakt podał mi informacje na temat jeszcze kilku innych potencjalnych squatów. Jeden z nich mieścił się na Eaton Place – długiej na czterysta metrów ulicy położonej w sąsiedztwie Hyde Parku, na której swego czasu mieszkał Roman Polański.

Z wypiekami na twarzy pojechałem zbadać okolicę. Nie dość, że długa na czterysta metrów to jeszcze szeroka na około dwadzieścia, Eaton Place okazała się być istną oazą w środku miasta. Mimo bliskiego sąsiedztwa kilku węzłów komunikacyjnych ulica pozostawała spokojną i cichą... nie licząc Porsche, Lamborghini i Mercedesów, które co chwila podjeżdżały pod domy mieszkańców. Squat czy nie squat, zaproszenie dziewczyny po randce

do domu na Eaton Place zrobiłoby na niewiaście z pewnością piorunujące wrażenie. Tym bardziej, że ulica obfitowała w opuszczone posiadłości.

Podekscytowany podzieliłem się moimi spostrzeżeniami z tajemniczym sprzymierzeńcem. Ten zadał tylko jedno pytanie: czy da się tam włamać?

No tak, jako niedoświadczony squatter w ogóle nie zwróciłem na ten trywialny aspekt uwagi. Wróciłem na Eaton Place. Niestety, przy bliższych oględzinach okazało się, iż prawie każdy dom uzbrojony był w alarm przeciw włamaniowy. Wyglądało na to, że o mieszkaniu w takiej okolicy będę musiał jednak zapomnieć. Trzeba było spróbować znaleźć coś w mniej ekskluzywnych dzielnicach.

Pewnego dnia, w przerwie między moimi kolejnymi eskapadami w miasto, udałem się do alternatywnej księgarni 56A gdzie w każdy drugi i czwarty wtorek miesiąca odbywają się spotkania poświęcone praktycznym zagadnieniom squatowania. Tam właśnie poznałem Krzyska, młodego polaka, absolwenta anglistyki, aktualnie również bez środków do życia i tak jak ja zainteresowanego mieszkaniem za darmo. Wymieniliśmy numery i od tej pory poszukiwania prowadziliśmy już wspólnie.

Naszą największą nadzieją był dom na Greenwich, który Krzysiek obserwował już od jakiegoś czasu. Niestety, kiedy przybyliśmy na miejsce wyposażeni w łom z zamiarem przeprowadzenia kulturalnego włamu, zastaliśmy w środku ekipę budowlaną. Z kolei dom, który Krzysztof zbadał kilka dni wcześniej wraz z innym amatorem squatowania okazał się być w tak beznadziejnej kondycji, iż nie opłacało się nawet próbować przywrócić go do stanu używalności.

W tunelu pojawiło się jednak jeszcze jedno światełko. Mniej więcej w czasie kiedy poznałem Krzysztofa, ujawnił się mój tajemniczy kontakt. Nazywał się Phil i mieszał ze swoją dziewczyną w opuszczonym domu nieopodal dworca King's Cross. Kiedy Phil usłyszał ode mnie o moich przygodach ze znalezieniem miejsca zamieszkania, wspaniałomyślnie oświadczył, iż kilka kolejnych nocy mogę spędzić u niego. I kiedy po tygodniu wspólnego mieszkania Phil i jego dziewczyna oświadczyli mi, że mogę zostać u nich tak długo jak zechcę a ja myślałem, że tak oto moje poszukiwania squata dobiegły końca nadeszły grobowe wieści – nakaz eksmisji.

Każdy squatters musi być zawsze gotowy na otrzymanie takiego nakazu. Czasami może on nadejść po trzech, czasami po dziewięciu miesiącach. Wszystko zależy od właściciela i jego chęci odzyskania swojej posiadłości. Jeśli dom jest własnością osoby prywatnej można przyjąć, iż nakaz przyjdzie dość szybko, jeśli zaś należy do councilu czyli rady miasta, squat powinien przetrwać co najmniej pół roku – urzędy w Wielkiej Brytanii są niedofinansowane i mają tysiąc innych spraw ważniejszych od ścigania amatorów darmowego czynszu.

Wracając jednak do naszej historii: nie było innego wyjścia, trzeba było szukać dalej. Ja do eksmisji miałem tydzień czasu, Krzysztof był w odrobinę lepszej sytuacji, choć ta też nie należała do najbardziej różowych.

Dom, w którym jeden z pokoi zajmował Krzysztof, należał do Housing Association, organizacji, która wynajmowała pokoje po okazjnych cenach bezrobotnym pobierającym zasiłki.

Pokój Krzysztofa podnajmowany był niegdyś przez jego przyjaciela Anglika. Kiedy ten zdecydował się przedwcześnie wyprowadzić, zaproponował Krzysztofowi, że może zostać u w pokoju przez kilka kolejnych tygodni – czynsz był opłacony z wyprzedzeniem. Gdy czas ten minął, Krzysztof zapytał pozostałych trzech lokatorów, czy nie mieliby nic przeciwko gdyby ten przewaletował w domu jeszcze jakiś czas, dopóki nie znajdzie czegoś innego. Zgodzili się, ale wywęszyli w tym interes – zażyczyli sobie po £10 dla każdego z nich za tydzień pobytu. I tak już zostało. Z każdym kolejnym tygodniem Krzysztof pytał, czy może zostać na kolejne siedem dni, a Matt, najbardziej obrotny z trójki lokatorów, demonstracyjnie kręcił głową, mruzczał coś pod nosem, ale zawsze się zgadzał, nie zapominając przy tym zainkasować swoich £10. Biedacy tylko nie zdawali sobie sprawy, iż jeśli komukolwiek z Housing Association przyszłoby do głowy zajrzeć do ich domu to wpadliby w niezłe tarapaty wynajmując pokój, który nie należał do nich.

Po kilku bezowocnych dniach poszukiwań promyk nadziei znowu nam zaświtał. Poprzez ogłoszenie zamieszczone przez Krzysztofa w internecie, skontaktował się z nami Dan, rezydent squat'u w dzielnicy Hackney. Tamtejsza ekipa miała u siebie kilka wolnych miejsc i była gotowa przyjąć nowych lokatorów, którzy wzbogaciliby, jak to Dan ujął, twórczą atmosferę domu. Zapytany przez telefon, co ma na myśli mówiąc twórczą atmosferę, Dan powiedział, iż szukają po prostu ludzi kreatywnie odjechanych na punkcie mody, żywienia i... seksu. Przyznam, że ostatni punkt dość mocno mnie zaintrygował. Krzysztof, który już wcześniej obracał się w środowiskach alternatywnych, obiecał iż wybada sytuację.

Wielki dom w środku miasta przypominał swoim wyglądem małą fabrykę, nie wyglądał jednak na amatorską wytwórnię filmów porno, co mnie trochę uspokoiło. Dan zaprosił nas do przestrzennego salonu na herbatę i zaczęliśmy rozmawiać. Po wymianie uprzejmości i podstawowych informacji, udałem się na oględziny domu pozostawiając Krzysztofa, aby ten zgłębił nurtujące mnie kwestie. Miejsce było imponujące. Dziesięć pokoi, dwie łazienki i profesjonalne pomieszczenie dźwiękoszczelne (jak się później okazało budynek był kiedyś używany jako agencja reklamowa). Musiałem przyznać, iż tak stylowym squatem można by zaimponować dziewczynie równie skutecznie jak tym na Eaton Place. Kiedy szedłem na dół chłopaki właśnie kończyli obgadywać szczegóły. Uścisnęliśmy sobie z Danem ręce i wyszliśmy na spowite zachodzącym słońcem ulicę Hackney.

- Musimy porozmawiać – zaczął niepokojąco Krzysztof. – Oho – pomyślałem – więc jednak jakaś seksualna komuna.

- Jeśli chodzi o seks to po prostu niektórzy z nich są biseksualistami i nie chcą w squacie nikogo kto miałby z tym problem. Chodzi o coś innego. Dan zapomniał wspomnieć przez telefon, iż mówiąc „kreatywnie odjechanych na punkcie żywienia” miał na myśli... wegan.

No tak, tego mi jeszcze tylko brakowało, żeby przy mojej znikomej wadze sześćdziesięciu pięciu kilogramów przechodzić na weganizm. Nie było jednak opcji. Fakty przemawiały do mnie nieubłaganie: do wyprowadzki miałem tydzień a na ulicy nie zamierzałem lądować. W sukurs przyszedł mi słowa niezapomnianego Laurence'a Oliviera, wypowiedziane do Dustina Hoffmana na planie „Maratończyka”. Nie będę przerzucał się na weganizm. Po prostu to zagram.

Sytuacja okazała się nawet prostsza niż myślałem. Ponieważ całe dni spędzałem w pracy i stołowałem się głównie poza domem, odżywiałem się niczym klasyczny mięsożerca. W lodówce trzymałem tylko niezbędny śniadaniowy asortyment. Gorzej sprawa miała się w przypadku Krzysztofa, który cały czas był na etapie szukania pracy a jako bezrobotny nie mógł pozwolić sobie na zbyt częste jadenie poza domem. Do diety wegetariańskiej był biedaczysko przyzwyczajony, jako że w ciągu ostatnich tygodni odżywiał się darmowymi posiłkami wydawanymi przez wyznawców Hare Krishny, ale weganizm to był już cięższy orzech do zgryzienia.

Któregoś z tamtych dni Phil zaprosił mnie do siebie na kolację. Wtedy to właśnie w naszych głowach zaświtał pomysł przeżycia miesiąca w Londynie bez wydawania ani centa. Podstawowy problem – czynsz, miałem już z głowy. Drugą najbardziej gardłową kwestią było jedzenie. Tu możliwości jest kilka. Pierwszego tipa otrzymałem od Krzysztofa, który, jak już wspominałem, od jakiegoś czasu korzystał z bezpłatnych posiłków dla potrzebujących oferowanych przez wyznawców Hare Krishna. Kiedy po raz pierwszy udaliśmy się na tą darmową ucztę odbierałem swoją porcję z pewną dozą nieśmiałości, większość potrzebujących to byli jednak ludzie bezdomni a ja na takiego jeszcze nie wyglądałem. Jedna z wyznawczyń uspokoiła jednak moje sumienie – poinformowała mnie, że moja obecność tu jest wynikiem woli samego Krishny i powinienem być po prostu wdzięczny za te chwile tam spędzone. Po spożyciu całkiem niezłego wegetariańskiego curry Krzysztof, który z niejednego vana z darmowym jedzeniem chleb jadł, zaprowadził mnie za róg do pobliskiego kościoła gdzie rozdawano z kolei herbatę, kanapki i ciasteczka.

Kwestia obiadu była rozwiązana. Ale co z resztą posiłków? Tu pomoc nadeszła ze strony Phila, który jako doświadczony squatter wprowadził mnie w arkana tak zwanego skippingu. Według ponurych statystyk, każdego dnia w Londynie marnuje się około 40% wytwarzanej żywności. Wiele lokali gastronomicznych, szczególnie należących do większych sieci prowadzi politykę „made today, gone today”. Oznacza to, że te kanapki i sałatki, które danego dnia nie zostaną sprzedane są wyrzucane do śmietników nazywanych po angielsku skips. Znając lokalizację tychże skipów można zapewnić sobie pyszne posiłki zupełnie za friko. Trzeba być jedynie szybszym od zgrai bezdomnych czyhających za rogiem...

Tak czy inaczej, zadanie było wykonane. Mając mieszkanie za darmo i jedzenie w dużej mierze też for free, mogłem na spokojnie zająć się zarabianiem pieniędzy i napełnianiem mojej świnki skarbonki. Nie wykombinowałem tylko jeszcze jak zaoszczędzić na komunikacji i rachunkach za telefon. Jak tylko rozwiążę ten problem, obiecuję iż dam Państwu znać.

Prosto z pola bitwy o kolejnego skipa,

Tomasz Marciniak.